

Doktorek Jeziorek

29 listopada 2015

Wiele osób zarzuca mi, że wspominając dzieciństwo, młodość i późniejszy żywot, często fantazjuję i łożę jak najęty. Niedowiarkom odpowiadam tak: za takie niskie honoraria za pracę twórczą – zmyślajcie sobie sami. A najbardziej fantastyczne i humorystyczne historie zdarzają się właśnie w życiu.

Życie zaczęło mnie doświadczać za czasów schyłkowego Gomułki, kiedy z dobrymi wynikami ukończyłem szkołę podstawową. Doskonale zdałem egzaminy do technikum w Białymstoku, skąd wkrótce zostałem wyrzucony na zbity pysk. Celowo się podłożyłem, bo krew nie woda, a w domu zostawiłem ukochaną, zawód melioranta darzyłem nieopisanym wstrętem płynącym z głębi serca, a jeszcze bardziej nienawidziłem szkoły, w której nie było dziewcząt. Liceum to co innego!

Podobny los spotkał Wojtka Kociszewskiego, z którym kończyłem podstawówkę. Obaj spotkaliśmy się w I klasie liceum im. Leona Kruczkowskiego w Ursusie, gdzie jak myśleliśmy – czeka nas błogość pobierania nauk w sposób radosny i wielce bez troski. Oj, myliliśmy się bardzo. Od początku nauczyciele patrzyli na nas spode łba, jako na drugorocznych głabów, a i podpadliśmy już na początku roku. Kociszewski obił głowę koledze z najstarszej klasy, a ja strzeliłem z gumki papierowym haczykiem w oko, którego właścicielką była Walera, nasza polonistka. To był zwykły wypadek, bo celowałem w durny łeb Rajtuza. Nie miałem przecież złych intencji, ale nie uznano tego za okoliczność łagodzącą.

Na domiar złego do szkoły przyszła matka Kocura i naskarżyła, że zrobiliśmy 50 litrów wina z jabłek i gąsior zamknęliśmy w jednym z piwnicznych pomieszczeń, do którego Wojtuś nie chce oddać klucza. Wyniki w nauce też nie były imponujące, ale to nie z naszej winy. Do szkoły nosiliśmy dębowy kuferek, do

którego nie mieściły się wszystkie podręczniki i zeszyty. Zatem zgodnie z wpajaną w nas komunistyczną doktryną o wspólnej własności, wszystko mieliśmy wspólne. Kiedy Kocur dostawał z odpowiedzi dwóję, to dostawał dwóję i nikt nie wnosił zażaleń. Ale kiedy z wypracowania dostawaliśmy czwórkę, to ponieważ praca była wspólna i we wspólnym zeszycie, więc ocenę dzielono na nas dwóch i też dostawaliśmy po dwójkę. Oto klasyczny szkolny przykład komunistycznej sprawiedliwości!

Nasza kariera naukowa w Liceum im. Kruczkowskiego, nie zapowiadała się różowo. Dlatego pan dyrektor wezwał nas któregoś poranka przed swoje oblicze, nakazał kategorycznie pojechać do Pruszkowa i w jednej z przychodni odnaleźć doktora Jeziorka. Wybitny ten specjalista ma nas dokładnie zbadać, dlaczego nie chcemy się uczyć i czemu tak kurczowo trzymamy się I klasy, że postanowiliśmy w niej pozostać po raz trzeci. Dostaliśmy pieniądze na bilety kolejowe i dyrektorskie błogosławieństwo z zapewnieniem, że bez diagnozy na piśmie nie mamy po co pokazywać się w szkole.

To nie było takie straszne. Ale pobledliśmy, kiedy p. dyrektor zarekwirował nasz sławetny drewniany kufer z pięknym, rzeźbionym lwem na wieku. Kufer miał pozostać w dyrektorskim gabinecie jako depozyt, abyśmy nie musieli go nosić w obcym mieście. Klęska. W kuferku bowiem były nie tylko papierosy. Te zresztą można zawsze kupić, ale znajdował się tam piękny, kolorowy magazyn, z trudem przemycony zza „żelaznej kurtyny”. Już z okładki uśmiechała się śliczna blondynka ubrana tylko w szpilki i... makijaż. A co było w środku!

Dzisiaj takie magazyny są powszechnie dostępne, można je nabyć w każdym kiosku. W tamtych jednak czasach był to skarb osiągnąć jedynie przez nielicznych i za duże pieniądze. Za pokazanie paru dziewczyn, zawsze mieliśmy ściągę, prace domowe, a przede wszystkim uznanie i szacunek wśród chłopaków całej szkoły!

– Panie dyrektorze, tu są nasze pomoce naukowe, a my chcemy podczas podróży się uczyć – wybełkotał ze łzami w oczach Kociszewski.

To oświadczenie nie było tak zaskakujące, co głupie, bo pociąg z Ursusa do Pruszkowa jedzie aż... 10 minut. W końcu to tylko dwie stacje. Przychodnię też znaleźliśmy, bo nie jest tak daleko od dworca PKP. Tylko, że w tej przychodni, nikt nie znał doktora Jeziorka. No ale po długim tłumaczeniu, że doktor musi nas zbadać – dlaczego nie chcemy się uczyć, skierowano nas do specjalistycznej przychodni szkolno-wychowawczej. Tam przyjęła nas jakaś młoda psycholog i dusząc się ze śmiechu oznajmiła, iż doktorem Jeziorkiem nie jest. Skierowała nas za to do Przychodni Zdrowia Psychicznego.

Tam z powrotem chcieli nas odesłać do przychodni, z której przyszliśmy, ale uparliśmy się na dr Jeziorka i tyle. Psychiatra patrzył na nas bardzo podejrzliwym wzrokiem, wreszcie dał nam skierowanie do szpitala psychiatrycznego w Tworkach, gdzie właśnie miał leczyć dr Jeziorek, a nawet sam Freud, bywający też Napoleonem.

Jedną stację kolejki WKD przeszliśmy pieszo. Z izby przyjęć trafiliśmy do tłustego medyka o wyglądzie dobrodusznym. Zajął się nami poważnie, popukał nawet młotkiem w kolano. Mówił cicho, spokojnie i łagodnie. Stwierdził erotomanię, początkowe stadium alkoholizmu (Wojtek całkiem niepotrzebnie opowiadał o pornosie i naszym gąsiorku) i coś jeszcze bardziej poważnego. Do leczenia zamkniętego nas jeszcze nie zakwalifikował, ale stwierdził, iż jesteśmy na dobrej drodze.

Pan doktor wszystko dokładnie zapisał, karty chorobowe włożył do dużej, szarej koperty, kopertę zakleił i kazał zanieść do... doktora Jeziorka. Dr Jeziorek przyjmuje w przychodni na Żbikowie – powiedział.

– Rany gościa!

Tu pragnę oświecić Czytelników słabszych z geografii, że

Żbików jest dzielnicą Pruszkowa, zaś sam Pruszków był wtedy czterdziestotysięcznym miastem i dość rozległym, z fatalną komunikacją, a w tamtych czasach z jej brakiem.

Poszliśmy.

Wreszcie tu, uśmiechająca się tajemniczo rejestratorka oświadczyła, że doktor nie może się nas doczekać. Fakt, zrobiło się już dość późno. Nieśmiało weszliśmy do gabinetu zmęczenia i wygłodzenia. Myśleliśmy, że będziemy mogli usiąść. Ale nie. Lekarz, widząc że w doskonałym humorze, ze śpiewnym wileńskim akcentem zadał rutynowe pytanie:

– I co was młodzieńcy do mnie sprowadza?

– Pan dyrektor nas wysłał, aby pan doktor nas zbadał, dlaczego nie chcemy się uczyć i z jakiej przyczyny chcemy zostać trzeci rok w pierwszej klasie – odpowiedzieliśmy jednocześnie, tworząc niezły duet.

– Aaaaa... Na moje oko, to wydajecie się na tyle zdrowi, że krowy paść możecie. Ale przede wszystkim, to ja nie jestem doktor Jeziorek, tylko Bajorek!

– Ale pan dyrektor podał nam takie...

– Co pan dyrektor wam podał, to ja wiem – przerwał doktor Bajorek. Zresztą muszę do niego zadzwonić... I zadzwonił.

– Słuchaj Józek, przyszło do mnie dwóch tumanów i pytają, uważaj, dlaczego nie chce im się uczyć! A niby co, ja jestem wróżką jaką, czy co?

No cóż, jakoś zdaliśmy. Nawet udało nam się zdać maturę i iść dalej. Oj, ciężkie jest życie sztubaka!

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Źródło: Wolna-Polska.pl